

## ARTUR C. SZREJTER

plansza głupców

Hodża z plemienia Tuaregów zatrzymał zmęczonego wierzchowca. Osłaniając oczy dłonią, jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Nadal nic. Od dwóch dni krążył tak po pustkowiach prażonych saharijskim słońcem, szukając wielbłąda. Parszywe bydło, przestraszone burzą piaskową, odłączyło od stada. Co chwila tracił trop na rumowiskach hamad - wszędzie spieczona skała, tańczące w nagrzanym powietrzu. Modlił się, liczyć mógł już tylko na pomoc Allacha. W rodowej oazie nie powitają go przychylnie, jeśli powróci z pustymi rękami. W dodatku nigdy wcześniej nie zapuszczał się tak daleko. Tutaj, w Słowiących Górach, od posuchy zdychały ponoć nawet skorpiony. Starcy opowiadali, że góry nie były dobrym miejscem, a oni nie zwykli rzucać słów na pustynny wiatr. Zmęczone słońce zawisło w końcu na zachodniej połowie nieba, więc Tuareg przystanął na modlitwę aser. I wtedy Pan ulitował się nad nim - Hodża dostrzegł odcisk kopyta na samotnej łasze piasku. Ucałował świętą ziemię. To był cud! Dosiadł i popędził zmęczonego wierzchowca w stronę przełęczy, mignął mu tam grzbiet wielbłąda.

- Jesteś! - krzyknął.

W tej samej chwili ścigane zwierzę zniknęło, jakby ziemia je pochłonięła. Rozległ się kwik, wzbił obłok pyłu...

Z kałasznikowem w ręku zeskoczył na ziemię. Ostrożnie, jak podczas walk z góralami, zbliżył się do skalnej rozpadliny, w której przepadł wielbłąd pochwycony przez piaskowe dzinny. Usłyszał stłumione rżenie zwierzęcia. Dochodziło z ciemnej czeluści. Lodowaty lęk ścisnął krtań Hodży, ale wiedział on, że jako Tuareg musi zejść w dół. Był wojownikiem. Na szczęście, w mroku nie czaiły się dzinny o okrwawionych pyskach hien - leżał tam jedynie ranny wielbłąd. Kwiczał przeraźliwie, miał złamane dwie nogi. Nie wyjdzie z tego, Hodża musi go dobić. Huk pojedynczego wystrzału zajączał krótkim echem między ścianami jaskini.

Na powierzchni zapadał już zmrok; z wyruszeniem do oazy postanowił zaczekać do rana. Nocna jazda po bezdrożach zdradliwych hamad przerażała bardziej od legendarnych niebezpieczeństw Słowiących Gór. Jednak to przejmujące nocne zimno okazało się najgorszym wrogiem. Hodża przytulał się do boku wierzchowca, ale niewiele to pomagało. W końcu, mimo że bał się dzinnów, wrócił do jaskini - tu przynajmniej nie hulał wiatr. Zdjął lithamę osłaniającą twarz i pociągnął dwa rozgrzewające łyki hiszpańskiego absyntu z przemytu. Pod ziemią Allah nie widzi.

Odchylając głowę do kolejnego łyku, zauważył świetlny refleks tańczący na stropie groty.

Butelka wypadła mu z dłoni.

Zerwał się na nogi, przeładował kałasznikowa.

Szkło roztrzaskało się o kamienie.

Obrócił się trzy razy, mierząc karabinem w ciemność.

Dopiero wtedy poczuł ostry zapach alkoholu.

Dziwne, ale otrzeźwił go właśnie odór wody. Uspokojony dostrzegł od razu, skąd płynęła smuga światła. Powoli podszedł do maleńkiego otworu w ścianie i przytknął do niego oko. Niewiele było widać. Ogarnęła go nie przystojąca mężczyźnie ciekawość - musi przekonać się, co jest po drugiej stronie. Wyzwanie nadspodziewanie łatwe - ściana z cegieł z mułu zjedzonych przez czas kruszyła się jak ciasto.

Mrużył oczy, póki nie przyzwyczyły się do jasności. Oszołomiony domyślał się już, gdzie jest. Powinien uciekać, ale w końcu nie był dzikusiem - chodził kiedyś do francuskiej szkoły w Rabacie. Nosił też włoski zegarek, a w jego namiocie grało niemieckie radio. Mimo to bał się. Tuaregowie są dzielnymi, ale i przesądnymi wojownikami wiatru, dumnymi ze swych przodków i wierzeń. I dlatego poczuł przerażającą pewność, że znalazł się w miejscu przeklętym. W Grocie Szepczących.

Wbrew rozsądkowi przekroczył próg oświetlonej jaskini. - Witaj, witaj... - rozległy się zewsząd głosy. Cofnął się o krok, jednak przyszło opamiętanie. Przecież skończył z wyróżnieniem cztery klasy Ecole primaire Franco-Marocaine! Jest człowiekiem nowoczesnym. Rozejrzył się. Tysiące tajemniczych znaków pokrywały ściany, nisze i wgłębienia. Szeregi czarnych i czerwonych symboli zajmowały wolną przestrzeń, od ziemi po sklepienie. Przypominały trochę tiffinagh, stare pismo Tuaregów, o którym pamięć przechowywały mądre niewiasty. Zdumiony zapomniał o strachu, nawet starał się odczytać znaki. Nadaremnie, nie został aż tak ucywilizowany. Od grotty odchodził stromo korytarz, z którego bił chłód szczypiący w policzki. Hodża domyślał się, co może być na końcu przejścia, stłumił jednak strach zwierzęcia pustyni. Dotyk karabinowej kolby dodawał odwagi. Schodził długo, prosto w paszczę zimna. Przewrócił się trzy razy, nim spostrzegł, że idzie po lodzie. Widział kiedyś lód, całe czapy lodowe gór Atlasu. Ale tutaj, w Spłowiących Górach?

Chodnik kończył się niszą, starannie wykutą w idealny półokrąg. Z jej tylnej ściany wyrastał język lodowego giganta, sięgający krańca korytarza. Oddech Hodży zamieniał się w obłoki pary. Stał jak zamrożony i patrzył na kamienny ołtarz, uwięziony w lodzie pośrodku grotty.

Wystawało tylko jego zwieńczenie, gdzie przodkowie umieścili najcenniejsze skarby przywiezione ze starej ojczyzny.

Głowy Szepczących.

Głowy mędrców od wielu setek lat przepowiadające Tuaregom dni chwały i dni klęski. Głowy mędrców, rządzące potężnym ludem, kiedy jeszcze mieszkał na środku wielkiej wody i pływał na drewnianych wielbłędach. Głowy pogańskich czarowników, zwyciężonych dopiero przez świętych marabutów, silnych błogosławieństwem Allacha.

Hodża poczuł, jak strach trzymany na uwięzi zrywa się do galopu... Pomarszczone głowy o włosach pozlepianych w strąki wyglądały groteskowo, ale tylko dureń ważyłby się zaśmiać w sanktuarium, najświętszym spośród tych, jakie znali jego przodkowie.

Powieki jednego z nawiedzonych mocą Szejtana gospodarzy uniosły się powoli. Spojrzenie niebieskich oczu wwierciło się w Tuarega. Ręce Hodży zaczęły drżeć od ściskania karabinu, a przez plecy przebiegł przejmujący dreszcz... - Z czym przychodzisz, synu? - usta Szepczącego poruszyły się sztywno jak u drewnianej lalki. - Czy masz dar?

Chciał krzyknąć, lecz przez wyschnięte gardło przedarł się jedynie głuchy skrzek. Stracił czucie w nogach, upadł. Panował tylko nad rękami. Zacisnął palec na spuście.

Głowy Szepczących rozpryskiwały się z suchym płaskiem, niczym wydrążone skorupy owoców, do których strzelał w dzieciństwie. Odłamki odbijały się od jego ubrania. Świt zastał go siedzącego w siodle. Robiło się coraz cieplej. Z wiecznego snu wyrwało go wezwanie. To samo, co zawsze: znowu miała się rozpocząć rozgrywka. Przebudzenie, jak zwykle, było koszmarem. Drgawki i omamy wzrokowe trwały wieki. Znowu płonęło miasto, zapadał się strop świątyni... Nie ustawał strach, że tysiące cegieł rozniosą go o posadzkę. Patrzył na własne ręce - pod wpływem żaru roztapiały się, z czubków palców skapywały złote krople...

Leżał ciężko oddychając. Uwięziony był w tej ciasnej klitce... Nie pamiętał od kiedy... Nie pamiętał przez kogo. Ani za co.

Usiadł przy ośmiokątnym stole o blacie podzielonym na setki złotych i srebrnych pól, z wydzielonymi na środku czerwonymi Schodami Nagrody. Starannie wybrał pozycje wyjściowe. Ustawienie pionów i figur trwało długo, ale nie spieszył się, nie było do czego.

Pierwszy ruch wykonał figurą Przynęta. Oczywiście, złotą. Chwilę rozkoszował się celnością posunięcia, ale i rozpoczęciem gry, po czym obszedł stół i przesunął jeden z mniej znaczących

srebrnych pionów - Próbę Ducha. To było standardowe otwarcie, prawdziwa rozgrywka dojrzeję później, jednak już teraz spłynęło na niego błogosławieństwo zapomnienia. Znowu nie wiedział, po co gra. Może dla zwykłej przyjemności?

Hugo Waldeck niewiele się spodziewał po wyprawie. Doniesienia terenowe okazywały się najczęściej niewypałami. Dawno się z tym pogodził, taki już los prowincjonalnego archeologa.

Rzadko uczęszczany szlak prowadził do zaniedbanej oazy, nie rokującej odkrycia na miarę Luksoru. Pośród namiotów czekali Tuaregowie w słynnych niebieskich szatach. Dumnie spoglądali znad lithamów błękitnymi oczami, chyba specjalnie ofiarowanymi im przez Boga, żeby pasowały do ubrań. Przywitał się zgodnie z pustynnym obyczajem, jak radził przed laty europejski konsul w Casablance. Nie wyszło najlepiej, mimo to docenili jego gest i na znak przyjaźni podali w kubkach koszmarnie cuchnący napój. Choć paskudztwo przebijało nawet ohydne niemieckie sznapsy, nie wypadało odmówić. Niepewnie spojrzął na tłumacza, ale ten wzruszył ramionami i wychylił zawartość jednym haustem. Gospodarze przemawiali długo i uroczyście, a tłumacz, jak przystało na wygę, nic nie przekładał. W końcu mruknął:

- Teraz poprowadzą nas do szejka.

„Wreszcie” - westchnął Hugo, przybyli przecież na jego prośbę: przywódcy rodu Regibatów, Hodży Zina Laribi.

Gospodarz leżał na posłaniu z poduszek, zajmującym połowę największego z namiotów. Od razu było widać, że umiera. Musiał mieć z dziewięćdziesiąt lat; w warunkach, w jakich mieszkał, zakrawało to na cud. Choć po prawdzie, archeolog słyszał, że Tuaregowie do późnego wieku zachowywali końskie zdrowie. W dodatku, o dziwo, umierający matuzalem znał francuski. Waldeck ucieszył się, miał wrażenie, że tłumacz niezbyt przykładał się do pracy. Z uprzejmym zainteresowaniem wysłuchał więc wyznania Hodży, choć nie potraktował go poważnie. Starzec niejedną raz musiał przecież oglądać złudne mirażę pustyni. A i fakt, że posłał po Hugo do dalekiej misji archeologicznej w Fezie, nie był niczym normalnym. Przynajmniej jak na Tuarega.

Toteż tylko jednym uchem słuchał szeptu przesadnego koczownika o tajemniczej Grocie Szepczących, o głowach, do których strzelał. Unoszący się w upale smród amoniaku był nie do zniesienia. Według Hodży do groty przybywali w swoistych pielgrzymkach odlegli przodkowie Tuaregów. Dzięki pośrednictwu tajemniczych Jednookich - kogoś w rodzaju samookaleczających się kapłanów czy ofiarników - korzystali z mądrości i rad Szepczących Główn. Stare opowieści Regibatów twierdziły, że groty wykuli pierwsi Tuaregowie, przybyli z dalekiej Północy, z twierdzy na środku morza. Oni też przywieźli Szepczące Główn, służące ich potomkom aż do nadejścia czasu wyznawców Allacha. Następne dwa dni Waldeck z heroizmem tłukł się na grzbiecie złośliwego wielbłąda. Jako pracownik Pogotowia Archeologicznego Północnego Maghrebu musiał sprawdzić każde doniesienie, nawet niewiarygodne. W końcu był archeologiem, tyle że miernym. Uschniętą gałęzią rodu wielkiego odkrywcy i awanturnika, hrabiego Fryderyka von Waldecka, dziadka nowoczesnej prehistorii. Hrabia ten rozliczne peregrynacje rozpoczął u boku Napoleona w Egipcie, potem zjeździł pustynie i wilgotne lasy Afryki, podziwiał starożytne zabytki Indii, aż wylądował w dżunglach Ameryki. To dzięki narysowanym przez niego albumom Europa poznała perłę budownictwa Majów - miasto Palenque. Opowiadał też, że widział porośnięte dżunglą pałace i zagubione monumentalne świątynie, których... dotąd nie odnaleziono. Nikt nie wiedział, ile w jego słowach tkwiło prawdy, a ile münchhausenowskich konfabulacji. Ale to już historia... Dzień dzisiejszy Waldecków wyglądał inaczej. Skończyły się czasy romantycznych wypraw i wielkich odkryć. Romantyka przepadała, gdy tyłek zaczynał boleć od siodła, a w gębie tkwiło więcej piachu niż śliny. Jak teraz.

W końcu znaleźli rozpadlinę, o której mówił Hodża. Tuarecki przewodnik nie chciał się do niej zbliżyć, a że i tłumacz się wzbraniał, archeolog w końcu pozwolił mu zostać na miejscu - cywilizowani Berberowie z miast pozostawali równie przesądni, co ich kuzyni z pustyni.

Wzruszył ramionami. Sam sobie poradzi. Uzbrojony w kask, linę i silną latarkę, wszedł do jaskini.

- Skąd tu światło? - szepnął zdumiony.

Nie minęła godzina, a pojawił się na powierzchni. Tłumiąc podniecenie, spokojnie otrzepał ubranie z pyłu. Na pytające spojrzenie tłumacza machnął lekceważąco ręką i dał znak do powrotu. W oazie poczuł ulgę, kiedy się okazało, że stary Hodża zdążył wyzionąć ducha. Tuaregowie nie pytali o Grotę Szepczących, szykowali pogrzeb. Wydawali się nawet zadowoleni, że goście zatrzymają się tylko na jedną noc.

W Casablance przesłał Waldeck siecią do swojego banku prośbę o sporą pożyczkę. Kiedy nadeszła odpowiedź pozytywna, zawiadomił Hiszpańską Misję Archeologiczną w Fezie o rezygnacji ze stanowiska. Nie musiał długo czekać na rozwiązanie umowy. Trochę go to nawet zezłościło. Zdaje się, że ten głupek, szef, nie miał zamiaru namawiać go do przemyślenia decyzji...

Wieczorem, po kilku godzinach spędzonych na gorączkowych planowaniach w towarzystwie Jasia Wędrowniczka, ponownie zasiadł do komputera. Sprawdził, do którego miasta dotarła robiąca furorę wystawa archeologiczna, kretyńsko zatytułowana przez speców od reklamy „Lodowy księżę Stonehenge”. Szukając danych, przypadkowo wszedł na stronę pewnego sycylijskiego naciągacza, który chwalił się, że w transie potrafi rozmawiać we wszystkich językach świata, nawet starożytnych. Waldeck uśmiechnął się pobłaźliwie i opuścił stronę superlingwisty.

Alkohol szumiał mu w głowie. Sprawiał, że wszystkie plany wydawały się łatwe. I takie genialne... Nalał sobie następną szklaneczkę. - I co pan o tym sądzi?

Sprowadzony z Tunisu Abdul al-Bereri, specjalista od starożytnych alfabetów saharyjskich, nie odpowiedział od razu. Zszokowany, bezskutecznie próbował jednym spojrzeniem objąć bezlik napisów pokrywających jaskinię. Ostrożnie dotknął ściany, jakby się upewniał, że to nie kolorowe marzenie. - Dlaczego pan tego nie zgłosił? - wyjęczał. - Chyba jestem w raju lingwistów! - Zgłosimy to za dwa tygodnie, po powrocie. Najpierw dowiemy się czegoś bliższego o tym alfabcie. Potrafi pan go odczytać? Abdul podrapał się po głowie.

- Może. Te znaki wyglądają na pierwotną formę tuareckiego tiffinagh! Sensacja...

Będziemy sławni!

Hugo uśmiechnął się, już schwytał Araba w sidła sławy. Pora wycisnąć z niego wszystko, co wie. Trzeciego wieczoru archeolog zyskał pewność, że trafił główną wygraną. Warto było czekać tyle lat... Gdyby jeszcze te przekłete muchy przestały uważać go za chodzące ścierwo. Abdul pracował jak oszalały, na przemian ręcznie kopiując tekst, to znów go odczytując. Waldeck utrwał znaki na taśmie filmowej i zdjęciach. Wolny czas spędzał na obserwowaniu Araba i paleniu papierosów. Już w Casablance wrócił do nałogu. Po prostu lubił tytoń. Papierosy i Jaś stały się nieodłącznymi towarzyszami wieczorów, ciekawszymi i wierniejszymi od pochłoniętego pracą Abdula. I dobrze, do Abdula nie powinien się przyzwyczajać. Po tygodniu Arab przeczytał Hugonowi tłumaczenie, a właściwie szkic połowy tekstu. Wielu szczegółów nie był pewien, ale ogólne znaczenie zdołał uchwycić. Przekaz opowiadał najpierw o wędrowce przodków Tuaregów z Północy, z wysp, na pustynię. Dopiero później mowa była o czymś, na co Waldeck czekał. Starożytni opisali obrzęd, którego święta siła nadawała uciętym głowom moc wiecznego życia i przekazywania rad czerpanych z zaświatów.

Oczywiście, Abdul traktował ten fragment jako ciekawostkę etnologiczną, ale Waldeck wiedział swoje. Uwierzył w opowieść starego Hodży po tym, jak jaskinia okazała się wypełniona „magicznym” światłem, a w niższej grocie znalazł połupane, zamrożone fragmenty czaszek i

skóry. To jeszcze nie świadczyło o prawdziwości regibackiej legendy, więc pobrał dwie próbki. Badania laboratorium toledańskiego uniwersytetu były jednoznaczne - próbki liczyły 3300 lat, z tolerancją stu lat w obie strony. Wtedy Hugo uwierzył. I ułożył plan, którego nie powstydziliby się sam Fryderyk von Waldeck - wszak hrabia twierdził, iż niejednokrotnie widział efekty działania magii, a nawet sam z niej korzystał. - Przetłumaczyłem. To koniec! - triumfalnie stwierdził Abdul po dwóch tygodniach i trzech dniach, niczym dzieciak czekający na pochwałę. „Tak, koniec...” - pomyślał archeolog. I też się uśmiechnął.

- Wszystko pan spisał i przetłumaczył?

- Tak, choć w wielu miejscach mogą być błędy albo nieścisłości. Jednak za kilka miesięcy wszystkie wyeliminuję. Będziemy mieli czysty tekst... Umilkł. Ze zdziwieniem dotknął dłonią żeber. Między palcami przeciekała krew. Waldeck zadał drugi cios, tym razem w szyję i zaklął, gdy czerwony strumień bluznął mu na rękaw koszuli. Jednak to zrobił. Planował morderstwo od początku, ale do końca nie wierzył, że się na nie zdobędzie. Poszło zdumiewająco łatwo. Sześć uderzeń serca później rzygał jak chory kot. Czuł się gorzej niż źle. Ledwo zdołał obtrzeć usta drżącymi rękami.

Starając się nie patrzeć na stężałą w zdumieniu twarz Abdula, zaciągnął zwłoki do komnaty ołtarzowej i rzucił przy jeziorze lodowca. Potem pobiegł po dwie ostatnie butelki whisky. Pociągnął kilka łyków, resztę wylał na trupa. Dopiero smród płonącego ciała wypędził go z lodowej sali. Rankiem dosiadł wielbłąda. Drugiego, obładowanego setkami plansz i rysunków, wiódł na postronku. Zaczynał się przyzwyczajać do półpijanego chodu tych okrętów pustyni. A w Casablance czekał prysznic, drink i ocean... W takim towarzystwie szybko przyzwyczai się do zabijania... czasu.

Poplamioną krwią koszulę zakopał w czasie wieczornego postoju i od razu poczuł ulgę. Ukrycie dowodu zbrodni czyniło go niewinnym nie tylko w oczach ludzi, ale i wobec własnego sumienia.

Figura Żelazo zachowała się znakomicie - wygrała wszystko, co mogła, jednym szybkim, agresywnym ruchem.

Z czułością ogarnął wzrokiem figury i pionki złotych. Promieniowały odbitym blaskiem, ale w miarę, jak strącały coraz więcej srebrnych, zaczynały mienić się własnym światłem. Jednak jeszcze daleko do tego, by nabrały sił po długim śnie. Teraz ruszył srebrnym Zniechęceniem. Było to bardzo niebezpieczne dla złotych posunięcie. Ale przecież właśnie na tym polegała gra, w tym tkwił jej urok! Gdyby zaczął oszukiwać, zwycięstwo nie przyniosłoby mu satysfakcji. Ani - przede wszystkim - korzyści.

Wydawało się, że w wiedeńskim Naturhistorisches Museum zarwą się podłogi pod ciężarem zwiedzających, a drogocenne zabytki z Halstatt legną w pryzmie śmiecia z wyposażeniem kantorka stróża nocnego. Ale za Habsburgów wznosiło się solidne budynki, z powodzeniem wytrzymujące napór tłumów godnych nowego tysiąclecia. Waldeck cierpliwie czekał w kilometrowej kolejce do szklanej klatki lodowego księcia. Mógł wprawdzie wykorzystać legitymację branżową, jednak nie chciał, by zarejestrowano go w spisie archeologów odwiedzających wystawę. Stał się ostrożny, bo stawka była wysoka. Nie mógł sobie pozwolić na niezręczny krok. Przyglądał się nieszczęśnikowi, który cztery i pół tysiąca lat temu zginął na pirenejskim lodowcu. Zamknęła się nad nim przezroczyta czasza, aby odsłonić oczom pary grubych, amerykańskich turystek. Światowa sensacja - człowiek z lodowca, znakomicie zachowany, a wraz z nim broń, narzędzia i ozdoby. Paciorki, wisioriki i naszywki ze złota, miedzi, kryształu górskiego i bursztynu - tak liczne, że brukowce okrzyknęły nieszczęśnika „księciem”. - Ale gdzie Pireneje, a gdzie Stonehenge? - spytał Kjørsten, zdejmując okulary w złotych oprawkach.

Hugo wzruszył ramionami.

- No cóż, po prostu mało udana, oczywiście, tylko merytorycznie, zabawa w skojarzenia. Za to skuteczna reklamowo. Książę żył w czasach megalitów, a najsłynniejszym zabytkiem megalitycznym jest Stonehenge. Gdyby zapowiadano, że ten tutaj to przyglup z pirenejskiej wiochy, pies z kulawą nogą nie przywłókłby się na wystawę.

- Od kiedy archeolodzy zatrudniają speców od reklamy? - roześmiał się Kjorsten.

- Od zawsze, tylko kiedyś za mało im płacili.

Mężczyzna nadal uśmiechał się.

- Ja też nie jestem tani. A ta robota widzi mi się równie trudna, co skok na Wawelski Skarbiec.

- Wawelski Skarbiec?

- To w Grupie Środkowoeuropejskiej. W zeszłym roku zamontowano tam zabezpieczenia najnowszej generacji.

- To jakiś bank?

- Nie bank, tylko skarbiec koronny królów Polski - z niesmakiem odpowiedział Kjorsten. - Jako archeolog powinienes o tym wiedzieć. Waldeck z trudem ukrył zakłopotanie.

- Specjalizowałem się w pradziejach Północnej Afryki - wyjaśnił. Wysoki blondyn pokiwał głową bez przekonania. Uważniej przyglądał się szklanej klatce niż samemu księciu, ale czynił to dyskretnie. Zauważył, że równie dużą przeszkodą jak zabezpieczenia niedrewniane będzie system klimatyzacyjny utrzymujący wewnątrz gabloty warunki zbliżone do tych, jakie panowały w lodowcu. - Nigdy nie przypuszczałem, że mogę dostać równie dziwaczne zlecenie - powiedział.

- Ile czasu ci to zajmie?

- Powinny starczyć trzy tygodnie.

Hugo zapłacił za gazetę i przejrzał stronę tytułową. Zaśmiał się jak z dobrego dowcipu, po czym wyrzucił dziennik do pierwszego napotkanego kosza. Zapalił papierosa i nucąc wesoło, skierował się do hotelu. Po minucie gazeta znalazła się w rękach kloszarda ciągnącego wózek pełen papieru i dykty. Staruszek przeliterował tytuł na pierwszej stronie: NAJBARDZIEJ ZDUMIEWAJĄCA KRADZIEŻ STULECIA! LODOWY KSIĄŻĘ STRACIŁ GŁOWĘ! Trzy dni! Całe trzy dni śpiewał inkantacje, palił wonne drewnienka, odprawiał szamańskie tańce, potrząsał glinianymi kołatkami, uderzał w bębenek obciążony skórą karakułowego płodu...

Nim sprawdził efekt swoich magicznych starań, poszedł do kuchni i wypił szklanekę herbaty.

Zirytował się, gdy łyżka wpadła mu w szeroki rękaw obrzędowej szaty pokrytej namalowanymi znakami tiffinagh. Musi być bardzo zmęczony kilkudniowymi wyczynami godnymi czubka, skoro wkurzają go takie błażostki. Opadł na krzesło i skrył twarz w dłoniach. Boże, co ja robię?!

Kompletnie zwariowałem! Powinien powiedzieć stop. I to dawno... jeszcze nim zabił Abdula. Nie, nie czuł wyrzutów sumienia, tylko strach, że ktoś może się dowiedzieć, co wydarzyło się w jaskini.

Na pewno nic z tych niby-czarów nie wyjdzie.

Podszedł do wielkiej zamrażarki, którą ustawił na środku salonu. Otworzył drzwiczki.

Na półce tkwiła głowa lodowego księcia. Martwa, zimna. I absolutnie nic nie szepcząca. Na matowych policzkach szklily się lodowe gwiazdki. Archeolog czuł, jak napięcie ustępuje miejsca zmęczeniu i zniechęceniu. Obrzęd się nie udał, nie mógł się udać, bo magia nie istnieje. Był głupi, że uwierzył w mrzonki. Mógł w nie wierzyć hrabia Fryderyk, ale nie człowiek ery lotów kosmicznych...

Jeszcze raz spojrzął na zamrożoną głowę. I wrzasnął. Wpatrywały się w niego zimne, niebieskie oczy. Pomarszczone usta poruszyły się powoli.

Waldeck zamarł, by wsłuchać się w zdania wypowiedane przez księcia, ale zaraz zaklął jak szewc. Tyle wysiłku, a nie rozumiał ani słowa z barbarzyńskiego języka!

Kopniakiem zamknął zamrażarkę.

Wtedy przyszło opamiętanie. Przecież udało się! Dokonał tego - zaklęcia Tuaregów okazały się skuteczne także w epoce lotów kosmicznych. Wysoki blondyn podniósł telefon.

- Kjorsten? - rozległo się w słuchawce.

- A kto pyta?

- Założę się, że mnie poznasz. Mam zamiar zafundować ci krótki pobyt na słonecznej Sycylii...

- Wolałbym dłuższy...

- Po robocie możesz tam sobie zostać choćby do śmierci. Za własne pieniądze.

- A o kogo chodzi tym razem.

- O jednego chełpliwego sycylijskiego internautę. Ponowne odprawienie obrzędu nie sprawiło już Waldeckowi trudności. Nie wątpił też, że się uda.

Wypicie herbaty przed otwarciem zamrażarki nabrało dla niego cech rytuału. Nie był przesądny, ale czuł, że w ten sposób „zaklepuje” sobie sukces. W końcu jeszcze niedawno nie wierzył w czary, więc może nadeszła pora uwierzyć i w siłę przesądów.

No i zaklepał.

- Zobaczymy, sycylijski naciągaczu, czy rzeczywiście potrafisz mówić we wszystkich językach świata - mruknął Hugo.

Głowa Sycylizyka powitała go słowami:

- Co pragniesz wiedzieć? Czy masz dar?

Zamknął drzwiczki i oparł się o nie plecami. Zachichotał nerwowo. Teraz miał już dwie zamrożone głowy. Otóż to, zamrożone... Przodkowie Tuaregów, choć władali magią wystarczająco potężną, by przywracać do życia głowy zmarłych, nie znali czaru na ich przechowywanie. Potrzebowali głupiego lodu... On zaś miał zamrażarkę. A w niej dwie ucięte, gadające głowy. Znowu zachichotał. Niepotrzebnie zamykał drzwiczki. Starożytne napisy twierdziły, że głowy można było budzić i pytać raz na trzy miesiące księżycowe. Musiał zatem poczekać, choć czasu ani pieniędzy nie miał w nadmiarze.

W sklepieniu rzeczywiście ziała dziura. Dokładniej - otwór czworokątny, starannie wykuty.

Wyglądał tak, jak mówił opis. Wpadające przez niego blade światło dnia istotnie padało tylko na wschodnią ścianę grobowca. Waldeck przejechał dłonią po kamiennej płycie. Spod palców osypał się szary proszek, ślad po pleśni, która zdechła z głodu na niegościnniej skale parę tysięcy lat temu. Pod spodem dojrzał kolory - resztki barwników! Oczyszczał kamień delikatnymi ruchami, choć był tak przejęty, że najchętniej zdrapałby nalot paznokciami.

Powoli odślaniał się zarys rysunku ludzkiej głowy, wokół rozkładały się nieczytelne jak na razie symbole. Sam w to jeszcze nie wierzył - znalazł pozostałości polichromii pokrywającej wielką płaskorzeźbę. Zajmowała całą ścianę grobowca. Dokładnie tak, jak w opowieści.

- Bingo - szepnął.

Wyszedł z kurhanu korytarzem, wyłożonym kamiennymi płytami, z których każda ważyła tony. Megalityczna perła, nawet jeśli brać pod uwagę naszpikowany podobnymi klejnotami Półwysep Pirenejski. W trzewiach tego grobowca i najwyższy koszykarz świata czułby się jak ubogi krewny mrówki. Po to właśnie wzniesli go bezimienni barbarzyńcy - u stóp tronu Wielkiej Bogini człowiek powinien czuć się ziarnkiem piasku startym na pył.

Na zewnątrz odetchnął mroźnym powietrzem. Trochę się uspokoił, mimo to nadal rozglądał się jak ścigany zwierz - prześladowany chorobliwym lękiem, że ktoś może mu ukraść zdobycz. Sprzątnąć sprzed nosa JEGO odkrycie. Bo miał wreszcie SWOJE odkrycie! Łeb Karbagi Gzula Engiego, uwięzionego w lodzie księcia, a właściwie naczelnika kilku wiosek, mówił prawdę. I, na szczęście

wskazany przez Karbagę kurhan zachował się w znakomitym stanie. Nie został splądrowany przez starożytnych rabusiów ani współczesnych zaopatrzeniowców nadlemańskich domów aukcyjnych. Chroniło go przed zachłannym ludzkim wzrokiem położenie w niedostępnym rejonie skalnych turni, gdzie nawet owce nie miałyby co jeść.

Pochowano w nim władcę połączonych plemion, który panował, wedle słów Karbagi, od gór aż do morza - zapewne od Pirenejów po Zatokę Biskajską. Monumentalny grób wznoszono siedem lat. Najzdolniejsi ze świętych artystów ozdobili wnętrze płaskorzeźbami i malunkami. Właśnie ze względu na nie archeolog zdecydował się sprawdzić akurat ten kurhan. Nigdy dotąd nie natrafiono na budowlę megalityczną z zachowanymi, choćby fragmentarycznie, naturalnymi kolorami polichromii! Nawet na Malcie, skarbnicy pradawnych świątyń, próżno by ich szukać. Jednak i fragmenty wystarczą, by po świątku prehistoryków rozszedł się huczek. Rzuci się stado sępów z najznamienitszych uniwersytetów, by opracować je fizycznie, chemicznie, archeologicznie, stylistycznie. A dla niego, dla odkrywcy - wyjazdy, zaproszenia, odczyty...

I następne, jeszcze wspanialsze znaleziska! Wzniósł piersiówkę ku niebu. Zdrowie Hodzy Zina Laribi!

Pomyśleć, że gdyby nie przypadek i szalona opowieść umierającego starca, do dziś sprawdzałby dziesiątki nic nie znaczących doniesień z marokańskiej głuszy. Aż skończyłyby na głodowej emeryturze... Kiedyś nawiedzały go takie wizje. Wiedział już, że się nie spełnią.

Po dwóch tygodniach wrócił do kurhanu ze sprzętem i robotnikami. Ponieważ był archeologiem, w dodatku z wieloletnim stażem w renomowanej instytucji, miejscowy konserwator zabytków nie robił trudności z wystawieniem koncesji na wykopaliska. „No, malutki - pomyślał Hugo stając u podnóża kurhanu. - Nie zawieź mnie”. Na sprzęt i opłacenie ludzi wydał resztę gotówki z pożyczki bankowej. Ale teraz pieniądze same się znajdują, ściąganie je waga odkrycia. Taką miał nadzieję. A wieczorami, podczas rozmów z Wędrowniczkiem, zyskiwał nawet pewność. - Witaj, czego pragniesz? Czy masz dar?

Waldeck nie miał pojęcia, o co chodzi z tym darem, dlatego ignorował natarczywe pytanie.

Indagował głowy przeczesując jednocześnie pokój w poszukiwaniu podsłuchu. Był przekonany, że ktoś go śledzi, chce wydrzeć tajemnicę, odebrać przyszłą sławę, zniszczyć karierę! Nawet w toalecie miał wrażenie, że jest podglądany. Nie znalazł pluskwy, więc sprawdził rolety w oknach. Zasłonięte. Potem zamykał i otwierał zamki u drzwi, dla pewności, że nikt ich nie sforsuje. Nie widział we własnym zachowaniu niczego dziwnego. Co innego lekarz - przynudzał o zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych! Mądrała i konował, Waldeck więcej do niego nie poszedł. Jeszcze raz obejrzał zamki i dopiero wtedy wrócił do przerwanej rozmowy z głowami.

Pojedynek srebrnego Szaleństwa z Pychą zakończył się wspaniałym zwycięstwem złotych. W efekcie samotny gracz mógł zastawić pionami swych ulubieńców kilka czerwonych pól Schodów Nagrody. Połowa sukcesu. Jednak coś go irytowało. Zajmował pola, zbijał wrogie piony i figury, ale nie potrafił przeprowadzić operacji okrążenia srebrnych. Przecież jeśli ich nie wytłucze do nogi, nie rozegra następnej partii! I nigdy nie zostanie obudzony ze snu, nie zasiądzie przy Stole Marzeń. Planszy Głupców, jak kiedyś - kiedy, nie pamiętał - ją nazywano.

Zdecydował się na ryzykowny ruch - złoty pion Zysk nie był wprawdzie silny, ale przy właściwym ustawieniu mógł wiele zdziałać. W tej części partii przestało się liczyć piękno posunięć - musiał teraz zbijać wroga, żeby złoci nabierali mocy, żeby świecili własnym blaskiem.

Żeby świecili tak mocno, jak niegdyś on sam... Dlaczego wciąż prześladowało go wrażenie, że gdy walił się mu się na głowę strop świątyni, był posągiem? Dziwaczna myśl.

Błysk jupiterów, oklaski, sale nabite ludźmi pragnącymi go zobaczyć i wysłuchać, pieniądze napływające z dziesiątek fundacji i instytucji badawczych, podpisywanie czeków i umów,



zamówienia naukowych opracowań znalezisk... Nie sądził, że sława potrafi tak męczyć... Choć może słowo „sława” było nieadekwatne. Znano Waldecka jedynie w gronie archeologicznym, i to mu na razie wystarczyło. Wprawdzie kilka razy pokazał się w telewizji, lecz głupota większości dziennikarzy zniechęcała go do mediów. Po dalszych dwóch latach fascynujących odkryć zaczęto o nim mówić jako o największym szczęściarzu w dziejach archeologii. Drugim Schliemannie. Ktoś raczył przypomnieć, że jest potomkiem Fryderyka von Waldecka - nie tylko prekursora majologii, ale i najdłużej żyjącego archeologa. Praszczur Hugona w pełnym zdrowiu dociągnął do 110 lat, życie zakończył nie w łóżku, a pod kołami paryskiej dorożki, gdy zagapił się na zgrabną pannę. Hugo uśmiechał się z artykułu opowiadającego, że przyjaciele hrabiego, Majowie, porwali jego ciało z grobu, uwięzili do Ameryki i tajemnymi praktykami sprawili, by nigdy się nie rozłożyło. Ponoć też długie życie von Waldecka miało być efektem czarów dziewcząt z Palenque, gustujących w towarzystwie awanturnika. Wśród Majów nadal mieli mieszkać jego potomkowie z nieprawego łoża... „Służka Hiperświadomości”, pismo dla pań o aspiracjach ezoterycznych, wyprowadziło tezę, że Hugo to nowe wcielenie starego hrabiego, wciąż niesytego odkryć i sławy. Po Kurhanie Malowideł, jak przyjęło się nazywać pierwszą stację w drodze Waldecka do sławy, przysłała pora na rozległe hypogeum - podziemny, wykuty w skale labirynt, służący w czasach Karbagi jako święte centrum wróżbiarskie. Mer pobliskiego Gavarnie, którego hotel i restauracja zarabiała na turystach ciągnących do hypogeum, nadał archeologowi honorowe obywatelstwo miasteczka. Potem była najstarsza i, niestety, prawie całkowicie zniszczona twierdza megalityczna Półwyspu Iberyjskiego, której władcy panowali nad znajdującymi się w głębi lądu kopalniami miedzi i złota. Dla dziennikarzy najważniejszy okazał się nie stan zabytków, a odnalezienie w podziemiach fortu kilkunastokilogramowego skarbu złotych i srebrnych naczyń, ozdób a nawet przygotowanych zawczasu dla jakiegoś króla masek pośmiertnych. Biedak, zniszczyli mu twierdzę, nim zdołał spokojnie umrzeć i zostać pochowany, jak przystało na władcę.

Później przysłała pora na zalane morzem cmentarzysko tholosów - królewskich grobowców. Tu wprawdzie złota nie znalazł, ale dziennikarze przyzwyczaili się ciągnąć za Hugo jak sępy za łatwym łupem. Karbaga zdawał się niewyczerpanym źródłem informacji.

Hugo rozumiał, że dobra passa nie może trwać wiecznie. W końcu wyczerpie się lista miejsc godnych uwagi, o których wie książę. Dlatego za trzy miesiące wyciągnie z niego coś konkretnego o od dawna zapowiadanej przez Karbagę rewelacji, tajemnicy tajemnic. Odkryciu, które unieśmiertelni nazwisko rodu Waldecków.

W ciągu ostatnich lat Hugo stał się też całkiem niezłym znawcą tiffinagh. Ale dopiero niedawno uświadomił sobie, po co tak usilnie starał się poznać pismo dawnych Tuaregów - wciąż prześladowały go słowa, wypowiedziane przez Abdula przed śmiercią. Że jego przekład jest niedokładny i raczej niepełny. Nadeszła pora sprawdzić, co Abdul przeoczył.

- Niech cię szlag! - wrzasnął rozwścieczony, trzaskając drzwiczkami zamrażalnika.

I tym razem nie zdołał wyciągnąć z księcia wszystkiego. Karbaga ociągał się z wyjaśnieniami, co dziwiło i denerwowało Waldecka - bo, zgodnie z tekstem z jaskini, powinien wyjawić to, czego żądał pytający! - W miejscu tym wielki król ukrył skarby. Skarby niezwykle, zza wielkiego morza, z lądu, gdzie w gorących, mokrych od ciągłego deszczu lasach mieszkają koty większe od wilków i węże długie na kroków piętnaście... Zaczynało się wspaniale, ale poza wstępem, słowa Karbagi nie niosły żadnej treści! Jakby książę droczył się, odwlekając moment wyjawienia tajemnicy. A mogło chodzić o skarby przywiezione z dżungli Afryki albo Ameryki! Oba przypuszczenia równie fascynujące, choć Hugo wolał wierzyć, że mowa o Ameryce. Gdyby udowodnił, że przed tysiącletkami korzystano z połączenia między Starym a Nowym Światem, wszedłby w poczet luminarzy nauki! Znany nie tylko specjalistom czy nawiedzonym czytelnikom pism o pseudomagii. Musi przedtem zmusić Karbagę do wyjawienia miejsca, gdzie „ów wielki król ukrył skarby”. Następne długie trzy miesiące.

Impreza kosztowała diabelnie dużo, ale sponsorów Waldecka stać było na wielkie rzeczy. Wyłożyli górę kasy, bo słusznie węższyli zyski. Zgłosiło się trzynaście stacji telewizyjnych z Ameryki i Europy gotowych transmitować otwarcie wystawy. - Wszystko gotowe, Manuel? - spytał Hugo zwierzchnika indiańskich robotników.

- Si, senior, prawie kończymy.

Archeolog uśmiechnął się ni to do nadzorcy, ni to do własnych myśli. Dobrze zaplanował miejsce imprezy. Ruiny Dzibilchaltun, największego i jednego z najstarszych miast Majów. Ponad czterysta kamiennych budowli, wznoszonych i przebudowywanych przez trzy tysiące lat. Metropolia, odkopana tylko w kilkunastu procentach, rozrzucona na wielu dziesiątkach kilometrów kwadratowych, dawała odpowiedni oddech i głębię panoramicznym kamerom. Widok będzie znakomity. Kamienne świątynie na tle drapieżnej, deszczowej selwy w oprawie soczystej, rozbuchanej dżungli. Cywilizacja wyrastająca wprost z przyrody. Hugo uśmiechał się na myśl o pseudoliterackich komentarzach, jakie będą towarzyszyć sprawozdaniom. Ród Waldecków po latach wracał do krainy Majów, aby oddać cześć ich kulturze - media uwielbiały kicz.

W centrum miasta, na dwóch głównych placach antycznej metropolii, robotnicy ustawiali pomniejszone rekonstrukcje, najslawniejszych megalitycznych budowli. Stonehenge i Stół Kupców dziwacznie wyglądały obok Świątyni Siedmiu Posążków i cenote Xlaca. Żenująca parada blichtru, obliczona nie na rozbudzenie w ludziach zainteresowania archeologią, lecz wyłudzenie pieniędzy od naiwniaków, przyzwyczajonych do popkultury i jankeskiego stylu. - Wspaniałe, senior, prawda? - Manuel krążył za nim krok w krok. Waldeck kiwnął głową. Ten drobny gest wystarczył - Indianin osiągnął pełnię szczęścia. Pobiegł do swoich, zapewne przekazać, że szef jest zadowolony. Istniał dodatkowy powód, dla którego Hugo nakłaniał inwestorów do wsparcia paranaukowej wystawy europejskich megalitów akurat w Ameryce. Przygotowywał grunt do odkrycia, którym udowodni kontakty transoceaniczne sprzed 4-5 tysięcy lat. Wtedy ani chybi ludzie okrzykną organizatora wystawy w Dzibilchaltun „prorokiem”. A w każdym razie - „badaczem o genialnej intuicji”. Zaczynał już wierzyć w te, niewypowiedziane jeszcze, słowa. A skoro on wierzy, uwierzą i inni. To kwestia czasu.

Wybór Dzibilchaltun też nie był przypadkowy - korzenie miasta mogły sięgać czasów, kiedy po oceanie pływały statki, przewożące amerykański obsydian w zamian za... Znowu się zagalopował. Choć kiedy będzie już trzymał w garści konkrety, prawda może się okazać bardziej fascynująca od rojeń o istnieniu Atlantydy.

Po kąpieli zasiadł do lekkiej kolacji, zabrał się też za poprawianie ostatnich akapitów tłumaczenia Abdula. Im głębiej zanurzał się w tekst, tym więcej znajdował pomylek.

Gorący i wilgotny poranek zastał Waldecka wciąż ślęczącego nad papierami. Komary omal nie zjadły go żywcem. Juan, indiański służący, właśnie wstał z hamaka. Ze zdumieniem patrzył na pana.

- Senior... Tak nie można! Nie spał pan, a wieczorem wielu gości, wielkie święto! - Zamknij się - burknął Hugo. - Pędź do pilota i każ mu się zbierać. Lecę do Meridy!

- Senior, a co z wystawą i fiestą?!

Hugo nie usłyszał pytania. Myślał, jakaż spotka go kara za to, że nigdy nie przynosił darów.

W samolocie linii Merida-Meksyk-Madryt siedział niczym mumia, nie odpowiedział nawet na pytanie, jakie chce trunki i czy zje obiad. Przez ostatnie lata zachowywał się niczym napaleniiec rzucający się na rajującą go babkę - działał zbyt pospiesznie. Powinien zacząć od spokojnej gry wstępnej, od tłumaczenia i poprawiania tego, co spieprzył Abdul. Może wcześniej zrozumiałby, gdzie tkwi pułapka.

Zatrzymał przechodzącą stewardesę.

- Czy ja wyglądam na szaleńca? - spytał nieswoim głosem.

Wzruszyła ramionami. Zresztą, nie oczekiwał odpowiedzi. Dwie przecznice od domu kupił gazetę. Na trzeciej stronie natrafił na artykułik „Brak prądu cd.”: „Nadal trwa szacowanie szkód wyrządzonych przez wielogodzinną awarię w dostawie prądu do dzielnic: Salamanca, Chamberi...” Przyspieszył kroku, pobiegł. Potracił staruszkę, po czym sklął ją na czym świat stoi. Przy wejściu do willi na pilocie wystukał kod dezaktywujący alarm. Szczęśliwie złodzieje, którzy buszowali po okolicy podczas awarii, nie zdołali przebrnąć przez niezależne od centralnego systemu tradycyjne zamki i zabezpieczenia.

Ale nie to było najważniejsze.

Zamrażarka!

Podchodząc do niej, już wiedział - wykładzina w całym pokoju była mokra - mimo to wciąż się łudził.

Z wnętrza buchnął okropny fetor. Jego głowy... umarły. Życie wyciekło z nich ponownie, tym razem definitywnie. Bakterie zrobiły swoje z wcześniej obumarłą tkanką, a choć później lód znów skuł wnętrze zamrażarki, było za późno. Waldeck mówił do głowy Sycylińczyka, zaklinał ją i obiecywał, że od dziś nie zabraknie jej darów, byle tylko przemówiła. Ale nie przemówiła. Cisnął śmierdzący czerep w kąt pomieszczenia i teraz księcia zaczął błagać o litość. Rozpłakał się, kiedy zrozumiał, że to koniec. - Wy sukinsyny - szlochał. - Ten wasz dar! Tylko na nim wam zależało, tak? Co, myśleliście, że dobrowolnie oddam wam własne oko, jak kiedyś Jednoocy? Jest XXI wiek! Fanatycy gnieźdzą się tylko na Uralu... A w ogóle, po cholere wam moje oko?! Łapówkarze pieprzeni!

Zamilkł.

- Wiem - podjął po chwili. - Ukaraliście mnie! Ale czy musieliście przy tym zniszczyć samych siebie?! To nielogiczne! To nieekonomiczne! Naraz opanowała go inna myśl - przecież zna rytuał, może zamrozić głowę kogoś innego! Ale co to da? Co mogą wiedzieć o ukrytych skarbach i zabytkach Smithowie czy Kowalscy? Nie interesowały go nowinki z dyskotek w Kuala Lumpur ani Irkucku. Skąd wziąć głowę człowieka z dawnych wieków? Lodowy książę był wyjątkiem, a wysuszone egipskie mumie nie nadawały się.

Dzibilchaltun. Rozpoczęła się tam - bez jego udziału - wielka gala. Sztuczne ognie strzelają w niebo, z ogromnych kopuł wyskakują zespoły rockowe i gwiazdy koszykówki, na ruchomych platformach przesuwały się rekonstrukcje megalitów. Ruszają w tan na wpół nagie czirliderki, psy zaczynają śpiewać, a z nieba spada deszcz różnokolorowych płatków z dwunastu milionów kwiatów. Sponsorzy, uśmiechając się do kamer, w duszy kląną, że Hugo wsiąkł. Cyrk bez głównej mały. A kiedy jeszcze wyjdzie na jaw, że nie dojdzie do tak szumnie zapowiadanego odkrycia stulecia... Całkowite bankructwo. Przegrał, i to bez klasy. Hrabia von Waldeck przewraca się w grobie. Smętnie spoglądał na spustoszenie, jakie poczynił na planszy. Znow wygrał. Srebrnym zostały tylko dwa Szczęśliwe Trafy, a to słabe piony, bo kiepskie w walce. Właściwie, nie zapamiętał ich z jakichkolwiek akcji. Nawet bronić się nie potrafiły. Zapędził je w Ostatni Róg. Stamtąd nie można się było wydostać. Świadczyła o tym sama nazwa.

Powinien być spokojny, do pogromu zostały dwa, trzy ruchy. Ale nie był. Drażniło go dziwne przeczucie, że może przegrać! Że złoci na zawsze utracą blask i nie będą w stanie przetrwać do następnej rozgrywki. Że zostanie wtedy zupełnie sam w tej ciemnej norze. Przerazało go to bardziej niż wizja walącej się na głowę świątyni.

Jeden ze srebrnych pionów Szczęśliwego Trafu nagłym skokiem przesunął się o trzy pola ku środkowi planszy, ku czerwonym Schodom. Gracz zamarł. Ani figury, ani tym bardziej piony nie mogły poruszać się SAME.

Przynajmniej KIEDYŚ tak było.

KIEDYŚ był chyba bogiem. Nie pamiętał nawet tego.

Śpiesznie wracał z paryskiego cmentarza Pere Lachaise.

Ciemną nocą kazał dwóm oprychom otworzyć kryptę hrabiego Fryderyka. Była pusta.

Zahartowane w mrocznych łowach hieny cmentarne uciekły w popłochu, gdy Hugo ogarnął atak śmiechu.

Najbliższy lot do Villahermosa z przesiadką w Meksyku miał za trzy godziny.

Z Villahermosa dwa kroki do Palenque. Musi tylko odszukać ciało pradziadka. Czuł, że dogada się z hrabią w pół słowa. Bez darów. Może spotka też paru krewnych.

W samolocie zastanowił się jeszcze raz, tym razem na zimno, choć przy ciepłym posiłku, do czego Szepczącym potrzebne były oczy. Znajdował tylko jedną odpowiedź - do niczego im nie były potrzebne. Liczył się tylko sam fakt OBDAROWANIA. Równie dobrze mógł dać im kosmyk włosów czy obcięte paznokcie. Albo ulubioną talię kart.

Nie tkwiła w tym ni krztyna NORMALNEJ logiki. Przynajmniej jak dla niego, nowoczesnego człowieka.

listopad 1999, Warszawa